№ 16.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 31. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Po pismach poznańskich toczy się spór już nietylko o przedmioty literackie, ale i o sposób ich oddawania; innemi słowy: zarzucają sobie kaleczenie języka, zły styl, zawikłanie myśli. Niemasz wątpliwości, że ogół piszących występuje teraz z lepszym stylem, niż się to działo dawniéj, trzeba jednakże atoli przyznać, że styl dobry jest jeszcze rzeczą niesłychanie rzadką, jakkolwiek pod stylem dobrym nie rozumiemy odznaczającego się szczegółowo, który może wychodzić jedynie z pod pióra człowieka utalentowanego, lecz rozumiemy tylko taki, który myśl dostatecznie oddaje, niema dzikich zwrotów, ani niejest zwichnięty wpływem obcego języka. Wymaganie zatém nasze nie jest wcale wielkie, a każdy piszący może mu zadosyć uczynić i dla tego, lubo zasady stylu rozwijano już nieraz w kilku-tomowych dziełach, my jesteśmy pewni, że w kilku wierszach położymy wszystkie, a nawet podamy sposoby bardzo pomocne do pisania od razu, choć nieozdobnie, to dobrze. Każdy biorący pióro w rękę, niech pisze tylko to, co sam zrozumiał, niech uczy drugich tego tylko, co sam wskroś poznał. Z téj wychodząc podstawy, kto przeczyta trzy albo cztery pisemka o filozofii niemieckiéj, niewolno mu o niéj pisać i gdy nienapisze, będzie miał tę przysługę, że nie natworzy złych wyrazów, niepołamie konstrukcyi właściwéj językowi polskiemu. Kto pisze o gospodarstwie, niech pisze wtedy, kiedy mówił o niém z ludem w rozmaitych stronach, ale niech niepisze z podkradaniem obcych autorów, a z dykcyonarzem i gramatyką przed sobą. Kto bierze pióro w rękę, niech nieprzybiera zaraz miny uroczystéj autora, niech niema na myśli paradowania przed czytelnikami, ale niech sobie wystawi, że pisze dla przyjaciela ze szczerości serca; niech sobie wmówi, że nie pisze, ale tylko opowiada, niech chwyta słowa żywe. Kto ma zamiar cokolwiek opisać, niech naprzód położy sobie myśl jednę, od téj niech wyciągnie główne jéj konary, niech oznaczy sobie gałązki pomniejsze, a nareszcie listki. Gdy ma tak plan ułożony, wolno mu zaczynać albo od pnia i ciągnąć do listków, albo od listków, a skończyć na pniu. Czy w ten, czy w drugi sposób, zawsze pójdzie snadno i posuwisto, bo po znajoméj dobrze sobie drodze. Mówiliśmy tu tylko o pniu, konarach, gałązkach i liściach, ale nie wyznaczamy miejsca kwiatom, bo te muszą same i bez pretensyi się znaleść i przypaść we właściwe miejsca. Komu atoli niechcą się zupełnie nadwinąć, ten najlepiéj zrobi, gdy bez nich napisze, zostając przy dawném porównaniu stylu; toć przecie dąb i jodła piękne drzewa, choć ich kwiatów prawie niewidać.

Żeby niepsuć języka narodowego, niech każdy nad zwrotem mowy sobie pomyśli, czyby człowiek prosty, czyby w ogóle lud użył takiego wyrażenia, gdyby się znał na opisywanym przedmiocie i gdyby o nim mowił.

Wielką wadą piszącego jest gadatliwość: w rozmowie słowa lecą, ale położone na papier są do niego przymocowane, azatem myśl nie powinna się nigdy powtarzać.

Moglibyśmy więcéj podrzędnych zasad stylu przytoczyć, ale nawet i te kilka tu wspomnionych złożymy w parę tylko słów: kto chce dobrze pisać, ten naprzód musi się zrzec próżności osobistéj w piśmie i nieuczyć się

z książek, ale z przysłuchiwania się rozmowom ludu. Jak w ten sposób położy sobie podstawę, niechaj dopiero weźmie się do nauk o stylu, estetycznych, filozoficznych i do jakich chce. Te jeżeli mu niebędą pomocne, to go już wtedy przynajmniéj na złą drogę niewprowadzą. Trudnienie się obcym językiem już także złego wpływu na niego nie wywrze.

Pieśń smutku.

(Ciąg dalszy.)

Tak życie jest poeziją! i wyższą od rymowéj. Miłość spółbraci, święcenie téj miłości wszystkich uczuć, chwil w życiu, najwyższym poematem, ale czyż sądzisz, że człowiek może niebyć poetą? a kto nim raz jest, czyż niemoże wedle silnéj woli swéj wylać poezyi serca swego w czyn, lub na płótno, w dźwięk słowa, lub postać uciosaną w żywą całość z marmuru?! Miałżeby błachéj formy człowiek nieprzełamać wolą? o jeśli tak, snać niebyłby poetą Januszu!

I cóż to jest poeta? czemuż on ma miéć moc woli? czyż niemamy tylu wieszczów, którzy rozanielili się w saméj tęsknocie, a woli ani tam u nich śladu!

Co jest poeta?! Człowieku, co tobie pytać o to? co ci słowa wszystkich światów i wszystkich narodów zdołają wyrazić, jeśli ci uczucie nie wypowiada, co jest poeta? Nie byłżeś ty nigdy poetą? nie miałżeś w życiu chwil takiéj pełni, że wszystek świata ogrom byłbyś do serca przycisnął? żeś kochał wszystkich i wszystko całą istnością, całą miłością swoją? Wieszczem byłeś wtenczas, boś obejmował cały świat we wrzącém uniesieniu miłości i wylać je zdolen byłeś ze siebie, i stworzyć w około siebie cały świat, świat wielki, piękny, nieskończony, świat taki, jaki wyszedł z rąk Boga. Mogłeś stworzyć życie i w życiu czyny, albo mogłeś w słowach odbić ten świat, który z ducha twego wylać miałeś, lub go mogłeś odrzeźbić w marmurze! Wtenczas byłeś wieszczem, poetą, kochałeś i mogłeś stwarzać, a jeśli tak, czyż stwórcy zbrakłoby na formie? tażby mu tamą miała być nieprzełamalną? Poeta, stwórca, jest w miłości swojéj wszechmogącym — wyśle myśl ku wiatrom i od nich pęd uniesienia zaklnie, wyśle ku tęczom i ich barwne zczaruje kolory, niebu jego błękit i drżące gwiazdy, ziemi jéj tatrzańskie skały, najeżone zielonemi drzewy, przetkane kwiatkiem, bujną trawą i szumiącym w srebrne fale z szczytów urwisk potokiem, dziewicy jéj modre oko i tę istność, która jest samą miłością, mężowi poeta zczaruje z istności wolę żelazną, nieugięty charakter, pochwyci w siebie i wyleje uniesieniem opromienione żywioły z zarzuconym na nie welunem piękności, w twór wielki, nieśmiertelny. I jemu, który wszystkiém władnie, miałażby forma stawiać trudności? on co może świat potrzaskać, miłości go ogniem, albo zemsty i wściekłości zapalić gromem, on co świat żalem cichym, spokojnym napoi, albo nań szalejące rozpuści burze i pomiata wszystkiém, jako mistrz potrząsa struną harfy i jako mistrz wydobywa z każdego taki dźwięk, jaki wydobyć zapragnie?!

Może być! ale czemuż sam przyznajesz, że są tylko chwile poezyi w życiu? Te chwile zowiemy natchnieniem — gdy przeminą, czémże jest wieszcz? Kroplą rosy, która lśniła całą jasnością i barwą jarzącą w promienném tle tęczy, spadłą na ziemię i zmienioną — w błoto! kobietą, tą istotą boską, która z wyżyny swojéj w odmęt brudnego życia wpadła; poetą rymów wreszcie, który gdy pieśń zawiedzie, boskim jest, nieporównalnym, a w życiu potoczném to ci będzie brudnym w namiętnościach, lub zimnym jako głazu kawał! Kropla co spada, Januszu, nie własnym lśni żarem!

— A wieszcz co śpiewa, czyż on wie w chwili uniesienia, jakiemi jego serce drga dźwięki?

— O wie, wie Januszu! on sam się wypala żarem, a nie odlśniwa go od obcych; on sam kocha, a miałżeby niewiedzieć, że kocha? Skoro raz jest na wyżynie twórczości, wszechmocy, może na niéj być zawsze, tylko snać braknie mu hartu ducha, nieugiętości woli; niechce, bo niema dosyć siły, aby chcieć, bo niewie, co jest za moc jego.

— Lecz mówiłeś, poezija miłością jest! Któż zdolen nakazać sobie kochać, zacząć lub przestać kochać? któż może przejrzyć przyszłość serca swojego i o niéj dać wyrok? któż porządzi uczuciem swojém?

— O tak, zapewne! nikt niepotrafi rozkazać sercu: kochaj, zacznij, lub przestań kochać, ale kto raz jest poetą, kto raz kocha, ten niemoże już przestać kochać, bo miłość, miłość prawdziwa, rzeczywista, taka jaka rodzi poezję, jest bez miary i granic, bez końca, jest wieczną! Kto raz pokocha rzeczywiście, kocha całą wieczność, a jeśli niespadnie w letarg, kto raz pokochał i wzniósł pieśń, wznosić ją może wiecznie! A popadnięcie w letarg, to zbezsilenie ducha, z braku woli i tęgości charakteru!

— Ależ to utopija! Miłość i wieczność, to właśnie sprzeczne sobie żywioły. Któżby też mógł wiecznie kochać? To w takim razie razby tylko w życiu pokochać można i już więcéj nigdy, a przecież ja sam tyle razy się kochałem! toby tylko jednę osobę kochać można, a kochając ją, już właściwie nic niekochać!

Henryku! jesteś idealistą i to przesadzonym idealistą! chcesz rzeczywistości życia, a własnéj niezapytałeś o nię przeszłości i śnisz — śnisz tylko o prawdzie, a niewidzisz jéj!

— Być może, że śnię, odrzekł smutnie Henryk — ale nie w tym przedmiocie! Ty widzisz, bierzesz miłostki za miłość, i dziwisz się, jak można całą wieczność przemiłostkować, jak jedną miłostką wypełnić całe życie? zapewne byłoby to niepodobieństwem, ale widzisz mój drogi! miłość, jest to tchnienie swojéj istoty w inną istność, a kto się raz przelał duchem w istność jakąś, czyliż może przestać być nią, czyliż może na raz we dwie istności się rozlewać? Wylanie się bez miary i granic w drugą osobę, przyprowadza nas do pełni. Któż z niéj może się strącić, jak gdybyś chciał, żeby młodzian stał się dzieckiem małém, lub mąż, aby stał się niemowlęciem?

— Czyż więc niemożna spółcześnie kochać narodu, kochanki, przyjaciół, rodziny? czyż idei i osoby razem nieobejmiesz w serce, a takby wypadało z twojego orzeczenia miłości.

— Niezaprzeczenie jednę tylko ideę lub osobę kochać można. Ale miłość niejest ujemną stroną życia, lecz dodatnią: dla tego jeśli kocham wyższą ideę, lub istotę, wszystkie niższe od niéj stanowiskiem obejmuję miłością. Zrozummy się. Kocham naród, kocham więc naprzód ideę istoty tego narodu, to jest wolność, a w ukochaniu narodu obejmuję miłość do każdéj osoby pojedyńczéj, zdolnéj być dla mnie uosobieniem narodu, lub jednéj z jego stron: w dziewicy pokocham ideę narodu, odbitą w pełni jéj uczuć, w mężu ukocham przyjaźnią ideę narodu, odbitą w pełni myśli jego. Która istota dla mnie uosobieniem, w postaci pojedyńczéj osoby, całości idei narodu, tę kocham całą potęgą duszy, w tę zupełnie istność swoję przelewam, jak ją przelałem w całość narodu. Kto kocha naród nadewszystko, ten i ukocha w indywidualnéj miłości więcéj osobę pojedyńczą, i pełniejsze inne jego uczucia: przyjaźń, rzewność rodzinna. Kto kocha osobę pojedyńczą, a nieukochał wyższéj idei itp., ten nietyle kocha, jego serce ciaśniejsze; eh — on prawdziwie niezdolen kochać jeszcze, bo nie na czémś ogólném, ale na indywidualizmie gruntuje się jego uczucie!

— Przerwijcież już, rzekł wreszcie Władysław — wasze rozprawy o miłości i poezyi! Mamy o rzeczywistości do mówienia, o tém co nam czynić należy, a nie o teorijach!

I znowu pomilczawszy długo, jęli trzej męże żywo o innym mówić przedmiocie.

II.

W pobliskiéj wiosce, w pośród chat wieśniaczych, wznosił się letni właściciela pałacyk. Już ciemno było — wszedł księżyc w orszaku gwiazd tysiąca, spojrzał jasném okiem ku ziemi i tęskno mu było, bardzo tęskno i smutno, więc téż promykami zapłakał blademi, a każdy promyk był jakoby tęczą, po któréj tysiące duchów wzlatuje w górę i opada i zawodzi tańce. Znacież wy świat S n u l e t n i é j n o c y? Wiecież, w jakich to orszakach Tytanija i Oberon przewodzą? Wiecież, że to na każdym kwiatku, jako rój motyli lekki, rój przejrzystych chochlików, chwieje się i spoczywa i zagra pieśnią całéj przyrody? Nieznacież tego świata rojeń, uroków i cudów?! O jeśli on wam obcym, spojrzyjcie w twarz miesiąca, śledźcie każdą łzę jego, promyk, których tyle spada ku ziemi, a zobaczycie, jakie tam wirują duchy, jakie tam brzmią pieśni, pieśni smutku! Czy wam nie ciężko na sercu? czy i wam nie smutno? O! kto głosy tych pieśni posłyszy, temu taka żałoba serce przejmuje, tak go coś tłoczy, że mu łza prawie zabłyśnie w oku, i odbije się w niéj smutne miesiąca oblicze, i ta łza stoczyłaby się, ale ją wstrzymuje anioł myśli silną prawicą i słowem: „słabość i niemoc tylko w łzę się rozpromienia.“

Biedny Edmund, mój warijat, on posłyszał te pieśni, on rozumie, co znaczy szmer strumyka i w jakie się skargi rozlewają fale, on wiatru szelest rozumie i gniew krzewin i dębu stuletniego zgrozę słyszy w każdém zadrzeniu listka, on pieśń chochlików pojął i łzy księżyca spadają mu wrzącemi kroplami na serce.

— Edmundzie! niepowtarzaj co słyszysz! Edmundzie, mój biedny obłąkańcze, niewydaj przed światem tajemnic, które ci przyroda spowiada, wznosząc pieśni smutku, bo cię ludzie wyśmieją. Im tak wesoło mój Edmundzie! Cóż im śmiech? cóż im, czy rozedrą wyszydzeniem swojém serce twe, czy nie? Oni niepomyślą, że błądzić mogą, ale ciągle szydzą i tylko szydzą! O, bo téż szydzić najłatwiéj! zamknij się w siebie, bądź kamieniem mój obłąkańcze ukochany — kto nie z kamienném sercem do ludzi się zbliża, ten musi zwaryjować!! I zwaryjowałeś, bo ludziom, przed którymi rozwarłeś serce, było to tak śmieszno, że kochasz nadewszystko świętą, wyższą ideę, a o sobie nie myślisz; bo im to komicznie wyglądało, że każdą chwilę święcisz wielkiéj idei swojéj.... Cóż robić!? twoja w tém wina, żeś nie tak karłowatych myśli jak oni! twoja wina, żeś nie tak zamarzł w uczuciach jak oni! Smutno ci bardzo wśród wielkiego przestronnego świata być tak opuszczonym bez bratniego serca, bez człowieka, któryby myśl twoję podzielił, a dłoń ci

przyjazną podał. Smutno ci? o niemyśl, żeś sam jeden! Patrz, patrz, to całe grono braci, przyjaciół twoich, i to ludzi żyjących — patrz tylko, wszystkich serca biją tém czuciem, tą myślą, którą twoje płonie — patrz, ilu braci! o nierozpaczaj!! Czy widzisz? tam, tam w dali czerwienieje zorza przyszłości — już nie sam jesteś! jako chorągiew purpurową rozwiesiło słońce mające wzejść za chwilę płoniący swój proporczyk! O nie sam jesteś, za święta myśl twoja, abyś był sam jeden, abyś jéj z nikim podzielić niemiał. Cóż ztąd, żeś na samych natrafił szyderców? Edmundzie mój, bądź dobréj myśli; cóż ztąd, że pod zimnych samolubów wyszedzenia usmiechem twoje serce pęka? cóż ztąd? idź swoim torem, wiedz, że ilu prawych tylu spółczujących z tobą; wiedz, że ilu miłujących wrząco świętą ideję, tylu podobnych tobie. Cóż ztąd, żeś ich niespotkał? To też dla tego zbolałą jest istność twoja i myśl twa obłąkaną! Ale biada tym, którzy niekochają i którzy bez cierpień są, którym wesoło, gdy inni cierpią!

Edmund, ten obłąkany, zaszedł do ogrodu przy pałacyku i patrzy w twarz księżyca, zaśmieje się, poskoczy dalej, i znów staje, klaszcze w dłonie; sądziłbyś, że go radość jakaś wielka spotkała; o nie! nie! znów się zasmucił, jęknął boleśnie, twarz wykrzywiła się kurczowo, ręka na sercu, oko jego się łzawi. Edmundzie mój, co tobie? — Cicho! niebędę mu przerywał jego marzeń, bo oto nadzieją rozjaśnia się znowu jego czoło, snać myśli przemienne bujają po niebie jego duszy, jako jesiennéj nocy, w tysiącznych postaciach, a coraz zmiennych, to śmiejących się posrebrzanym promykiem, to smutnych ciemném tłem mgły gęstéj; chmury żeglują na skrzydłach wiatru gdzieś tam po dalekiém niebie. O chmury! chmury! śmiéjcie się tylko pięknemi postaciami w duszy Edmunda mojego, bo cóż wam z jego bólów! o chmury snów, dla czego kirną nad nim zwisłyście postacią?

Ale cóż to za postać przechyla się z okna letniego pałacyku? zdaje się z roskoszą za obliczem księżyca ścigać, stęsknionym wzrokiem; to dziewica piękna, ale smutna, bo jakżeby piękność bez smutku być mogła? Sama jest, już wszyscy snać usnęli w około niéj, już żadne natrętne nieśledzi jéj spojrzenie, więc na wiatr rozpuściła włosy i wiankiem skroń przystroiła. Ale wianek zwiędły, kwiatki w nim zeschłe; — cała jest w bieli, ale twarz jéj bledsza od szaty. Już w jéj oczach zamarła łza, już się niepotoczy, i duszy ulżyć zdoła tylko spojrzeniem tęsknem, bolesném. Edmundzie! spojrzno ku téj niewiaście! Edmundzie, nie zamyślaj się, nieścigaj wzrokiem gwiazd odległych, bo twoja gwiazda zeszła w blasku i ozdobie smutku, a piękniejsza to ozdoba niźli promyki gwiazdeczek błękitu! Patrz Edmundzie, twoja gwiazda wzbija się na niebo, tak jasna jest boleścią swoją!... O mój Romeo, czyż nie poznajesz Julii? to twoja Julija, a miecz losu, co was rozdzielił, nie zawisł pomiędzy wami — bo noc jest, i chociaż źli nieśpią, dręczą ich gorączkowe marzenia, dręczą postacie, których z sumienia żadna nie odegna siła. Tyleście czasu rozdzieleni byli, tak bliscy myślą, a dziśże bliscy, czy się nie ujrzycie?

Dziewica pierwsza spostrzega Edmunda — zrazu przestrach, że ją ktoś widzi, że w chwili, którą święci spomnieniu najdroższego, jakiś obcy przerywa uroczystą samotność; następnie jakieś zdziwienie, chwila niedowierzania oczom własnym, — podnosi rękę, kładzie na czole, jakby dla przekonania się, ażali czuwa, potém okrzyk konający w chwili wyjścia z piersi i jednym poskokiem biegnie do Edmunda. On jéj niepoznał!...

Przybiega, on jéj niewidzi; pada mu w objęcia, on stoi nieruszony; pada przed nim składając dłonie, on niemyśli, niewidzi, i tylko spomina boleśnie półgłosem: „Gdzie jesteś? czy ty widzisz tę twarz Pau„lino, czy w niéj widzisz mnie? księżyc płacze, a chór „chochlików wznosi śpiew smutny. O chochliki, wy „duchy lekkie, spieszcie do niéj, do niéj odemnie „nieść myśli, czucia! Wznoście jéj śpiew o mnie, ona „usłyszy, zrozumie was! Prędzéj — prędzéj! a cóż, „czy was zrozumiała? Nie?! mówicie że nie! o ja „wam niewierzę, ona mnie zrozumiała, miałażby was „nierozumieć?“

— Edmundzie, Edmundzie! jam twoja Paulina! Edmundzie, czy nie poznajesz mnie? co tobie? — najdroższy! jesteś przy mnie!

Teraz jakby jakaś muzyka, jakby jakieś spomnienie zagrało w duszy Edmunda, stara się zebrać myśli, stara się przywołać w pamięć dawne czasy, uczucia, postacie.

— Paulina, Paulina! ona daleko! Czy i ty się nazywasz Pauliną?

— I ja, i ja — jesteś przy Paulinie, przy kochającéj ciebie nad wszystko.

— Nie, nie, niekochaj mnie! cóż ci ztąd? chociażeś ty Pauliną, ja ciebie niemogę kochać, bo widzisz, ja kocham inną dawną moję Paulinę! próżno twoje marnujesz uczucia, próżno — i ja czas poświęcam ci próżno! Chochliki! chochliki! tu do mnie przybywajcie! I cóż — i cóż odpowiedziała? zrozumiała was?

— O zrozumiała, odpowiedziała, nie przez nich! oni źli są, nieusłużni — przezemnie odpowiedziała: posłuchaj mnie Edmundzie, posłuchaj!

— Ha, zrozumiała! zrozumiała!

— I odpowiedziała! Czyżbyś o niéj zapomnieć miał, że niechcesz słyszyć odpowiedzi? Przywołaj myśl swoję, przywołaj pamięć, jestem od niéj.

— Od niéj — i cóż?

— Kocha cię.

— Kocha, kocha! o ja wiedziałem o tém, i cóż, mów, cóż więcéj?

— Gdy się dowiedziała o tobie, przybędzie tu zaraz.

— Co? co? przybędzie? Ona! do mnie!? — Nie! jakżeby przybyła?

— Czyż dla niéj może być co niepodobném? Od tęczy skrzydeł, od wiatru łodzi, od promyków gwiazd pożyczy kobierców, do wysłania lekkiéj gondoli powietrznéj, i będzie przez modre fale nieba żeglować ku tobie!

— O nie uwódź! nie łudź nadzieją! już ich tyle miałem i każda opadła jako zwiędły kwiatek, i nic po niéj, nic się niepozostało, nawet spomnienia żadnego. O nie! ból pozostał głęboki, a przykry bardzo ból!

— Oto jest twoja Paulina — i rzuciła się w objęcia Edmundowe dziewica.

Obłąkany przyszedł na chwilę do pamięci, poznał ją teraz wprowadzony w koło idei nowych, w koło nadziei widzenia oblubienicy swojéj poprzednią rozmową. O jakież to szczęście, jakaż to radość, dla dwojga od dawna rozłączonych kochanków, widzieć się znowu, być sobie powróconymi. Cała przeszłość pełna cierpień niknie i z losem już się rachować przestajemy; minione bóle niczém są, obecna radość wszystkiém, ale radość taka niedługo trwać zwykła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Stowarzyszeniach.

(Dokończenie.)

Powiedziało się wyżéj, iż Towarzystwo naukowéj pomocy, opiekujące się młodzieżą dopiero po lat 10 jéj życia, nie ma dla siebie podstawy, którąby rzeczywiście do ostatnich warsztw społeczeństwa sięgało; że nie ma kadr, któreby zdatną młodzią zapełniały jéj legią; samo nawet wychowanie do 11go roku niedostatkowi rodziców, i zaniedbaniu z nędzy czy z obojętności zostawione, pozbawia naukową pomoc z tych wszystkich zdatności młodzieńczych, które do tego roku nie miały sposobności rozwinięcia się do tego stopnia, ażeby z uczynionych postępów w naukach ocenić się dały.

Nic zatém dziwnego, że Towarzystwo przez czas trzyletniego swojego działania na celujące talenta nie natrafiło, i że między czterystu z okładem uczniami, których na fundusz swój wybrało, najwięcéj miernych i zwyczajnych liczy zdolności. Kiedy się młodzież ze szkół wyższych i niższych o wsparcie zgłaszała, była to młodzież zupełnie nieznajoma i Dyrekcyi i komitetom, i świadectwo jedynie nauczyciela, lub kilka zadanych pytań, stanowiło sąd o zdolnościach. A i tu nawet, nie chcąc, by fundusze leżały nieczynne, nie można było robić wielkiego wyboru, i tylko tych oddalano, którym albo nieudowodnione ubóstwo, albo zupełnie złe świadectwo stawało na przeszkodzie.

Pod takiémi okolicznościami, Towarzystwo naukowéj pomocy dziś dopiero utworzyło sobie kadrę z czterystu kilkudziesiąt uczniów, i dziś dopiero przez kilkoletnie zapatrywanie się na postępy uczniów przez pilność i zdolności, potrafi zrobić wybór, i zrobić taki powinno z tych, którzy w myśl statutów, stanowić mają owę zdatną młodzież, z mass ludu wydobytą. Niechby z tych 400 było ich tylko 40, niechby 10, — tych Towarzystwo pod swoją szczególną wziąść powinno protekcyą, nie żałować nakładu, wspierać materyalnie i moralnie, dać nad nimi dozór wyłączny kilku mężom zdatnym i prawym, aby ich edukacyą kierowali, — a tym tylko sposobem wyprowadzi z nich świeczniki dla narodu.

Skutki światła duchowego, są jak skutki elektryczności, potężnie tylko działają przez napiętość *(intensio)* nie przez rozpiętość *(extensio)*. Pomoc naukowa mając oba cele na opiece niech nie zapomina, że pierwszy cel o tyle przewyższa drugi, o ile jeden geniusz przewyższa tysiące miernych talentów.

Pomoc naukowa znacznie rozprzestrzeni zakres swojego działania, gdy obejmie także młodzież szkół elementarnych, a zatém gdy rozprzestrzeni młodą generacyą o trzy do czterech lat niżéj.

Na ten cel utworzyć się powinna sekcya naukowéj pomocy dla młodzieży szkół elementarnych, obejmująca wiek od 6 do 12 roku. Czy to tylko będzie sekcya, czy osobne towarzystwo, zawsze ono będzie miało dwa cele: napiętości i rozpiętości oświaty narodowéj.

Co do pierwszego celu wyszukiwać będzie młodzież uzdatnioną już w szkołach elementarnych i takową przekazywać będzie do dalszego kształcenia naukowéj pomocy. Co do drugiego celu starać się będzie o ile fundusze starczą, aby między massy ludu, już bez względu na zdatności, szerzyła się elementarna oświata, taką jaką dziś dają szkółki wiejskie i miejskie.

Rozbierzmy naprzód stosunek rozpiętości. — Nie ma nic straszliwszego dla narodu, jak ciemnota, bo ciemność jest niewola, jest materya bez ducha, siła bez władzy, czas bez postępu, żywot ludu bez historyi. Rozpędzać tę ciemność, jest pierwszém zadaniem społeczeństwa; bez rzucenia tych fundamentów budujesz dom od dachu.

Oświatę między ludem szerzą szkoły, nauczyciele i pisma do pojęcia ludu przystępne. Wszystko troje jest tak obszernego zakresu, i wymagające tyle środków materyalnych, że tylko środkami rządu dadzą się rozwinąć. Towarzystwo w mowie będące, może tylko jednéj sięgnąć gałęzi działania, to jest ułatwiać ludowi korzystanie z istniejących już środków oświaty. Ubóstwo nieprzełamane tu stanowi przeszkody.

Po wsiach lud biedny rad, gdy mu dziecko do szóstego roku dorośnie, bo się już niém posłużyć może, używa je do piastowania niemowląt, do pilnowania ich w domu, gdy rodzice sami wychodzą w pole na robotę, nareszcie używają dzieci do paszenia gęsi lub trzody, i do różnych prac wiekowi temu odpowiednich. Z tego to względu ani mysli o tém ojciec i matka, ażeby dziecko posyłali do szkoły. Zimową porą ułatwiona nieco praca, ale za to, mróz i słota stawiają przeszkodę dla dziecka bosego i nagiego, które nie raz o ćwierć mili i daléj biedz ma do szkoły. Użyto gwałtownych środków do napędzania ludu wiejskiego, by dzieci do szkółek posyłano. Nauczyciel podaje nieprzytomnych wójtowi, a wójt ściąga półzłotego kary od dziecka. Płacz, lament, przekleństwo towarzyszą exekucyi tego rodzaju kary, bo chłop nieraz trzech groszy polskich na sól w domu nie ma, i zabierają mu ostatek z domu. Matka bije dziecko, które się stało niewinną przyczyną nowego ucisku, i wraz z niém klnie w piekło szkołę, nauki i nauczyciela. Sądź ztąd każdy, jaka może być korzyść dla dziecka zmitrężonego na duszy i ciele, któremu nauka, przymusem, karą i przekleństwem rodziców napiętnowana? Złe więc głębiéj sięga. Leży ono w zmitrężeniu i uciśnieniu stanu roboczego po wsiach, i nie będzie lepiéj, dopóki stósowniéj robotnik na wsi za pracę swą nie będzie wynagrodzony.

Po miastach u nas podobna pomiędzy ubóstwem potrzeba posługiwania się dziećmi, podobna niemożność oporządzenia porządnego dzieci i kupienia im książek i materyałów piśmiennych. Ztąd pochodzi, że tak mała liczba dzieci mianowicie polskich, uczęszcza do szkół elementarnych po miastach. Towarzystwo wiele tu już dobrego zdziała, gdy biednym rodzicom przyjdzie o tyle przynajmniéj w pomoc, że ich posełanie dzieci do szkoły nic kosztować nie będzie. Licząc pięć talarów na jedno dziecko w przecięciu przez rok, jużby stu talarami 20 dzieci wychowywać można w jednéj parafii. Nie potrzeba zatém ku temu znacznych funduszów, ażeby znaczne dla oświaty ludu przynieść korzyści. Do tego oszczędność w wydatkach, by tylko o tyle przychodzić w pomoc, o ile tego konieczna jest potrzeba, połączenie w stowarzyszenie rzemieślników, mianowicie takich, od których oporządzenie zależy, mogłoby o wiele jeszcze przyczynić funduszu.

Komitet dla szkół elementarnych wraz z nauczycielem szkoły, uważa między młodzieżą uczącą się po szkółkach, odznaczających się przez lat kilka pilnością i zdatnością. Takową przed innémi ma na pieczy; rozdawaniem nagród podczas popisu, zachęca, i po nabraniu dostatecznego przekonania, że uczeń taki nie tylko pilności ale i przyrodzonym zdolnościom winien uczynione w naukach postępy, poleca go przy ukończeniu nauk elementarnych Dyrekcyi Towarzystwa naukowéj pomocy, lub komitetom, stósownie do lat i ochoty, albo na naukowe, albo na przemysłowe wykształcenie.

Fundusze zatém na ten cel mające się przeznaczyć nader są małe. Najwięcéj tu stanowi dozór komitetu ciągły i gorliwość nauczyciela, 20—30 talarów dostatecznémi będą na jednę szkołę, aby w niéj 4—6 zdatniejszych uczniów rocznie utrzymać w celu oddania ich potém naukowéj pomocy.

Ostatnim, a raczéj pierwszym szczeblem narodowego wychowania są domy ochrony, dla których obecnie u nas tyle obudza się interesu. Cel ich zaraz na początku tych artykułów został wytkniętym. Liczba nowonarodzonych dzieci wedle tablic statystycznych marnieje najwięcéj w pierwszych pięciu latach wieku. Śmiertelność tu bywa nie raz zastraszająca. A i to nawet, co się po za ten wiek utrzyma, przyciśnione wielorakiego rodzaju niedostatkiem, karmione niepożywną i niezdrową strawą, przyzwyczajone rychłe do wódki, zaniedbane w ochędóstwie i schludności, albo upada coraz bardziéj na siłach, i zmiera, albo zwiędniały i zmitrężony na ciele i umyśle wiedzie żywot.

Zapobieżenie więc fizycznemu i moralnemu zepsuciu jest główny cel domów ochrony. One zastępują pieczołowitość matek i trudnią się wychowaniem młodego pokolenia, opuszczonego przez ubóstwo lub niedbalstwo rodziców. Aby dzieci przyszły do sił i zdrowia, aby umysł ich był dziecinnie wesoły; aby przywykły do ochędóstwa, schludności i czystości, a odwykły od złych nałogów, aby w nich zaszczepić

pierwsze ziarna religijności i moralności, — a to wszystko w sposób łagodny, macierzysty, zmysłowy — oto cały zakres działań, któremi kierują domy ochrony.

Urządzenia ich i prowadzenie w nich dzieci może być bardzo rozmaite. Na to wszelako baczyć głównie należy: 1) aby to nie były domy zabawy dla dzieci ale domy wychowania; 2) aby się dzieci nie uczyły próżnowania ale pracy; 3) aby te domy nie stały się dla nich więzieniem ale ponętą.

Dla dopięcia tego wszystkiego nie powinny mieć dzieci głodu, ale porządne i lepsze niżeli w domu odbierać nakarmienie. Z drugiéj strony nie należy ich przyzwyczajać do łakoci, nadewszystko nie pozwalać, aby odwiedzający obdarzali ładniejsze i powabniejsze dzieci podarunkami w czémkolwiek bądź. Dzieci, to urodzona rzeczpospolita, równość zupełna we wszystkiém. Nic tak dziecka nie oburza jak właśnie faworyzowanie innych. — Dobór zatrudnień i stósowne przeplatanie ich zabawą i rozrywką najwięcéj tu pomaga. Jednostajność nudzi, a natężenie wszelkie osłabia. We wszystkiém, czém dziecko chcesz zatrudnić, obudzić interes dla niego potrzeba.

Teorya tu łatwiejsza niż praktyka. Doświadczenie ją tylko wykształcić może. Na ten cel dom ochrony w Poznaniu powinien być wzorem wszystkich innych.

L.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Poszyt VII. „Roku 1844.“ zaczynający nowe półrocze, opuścił prasę i zawiera: 1) O Towarzystwie naukowéj pomocy, przez Libelta, z przydaniem mowy mianéj przez Dr. Marcinkowskiego, na walném zgromadzeniu członków. 2) Włościanin polski ze względu historycznego, statystycznego i politycznego (ciąg dalszy). 3) Najnowsze odkrycia elektro-magnetyczne z zastósowaniem ich do sztuki lekarskiéj. 4) Kilka uwag o skażeniu języka, przez Wolniewicza. 5) Kronika bibliograficzna.

— W Krakowie wytoczył się spór pomiędzy literatami względem projektu do prawa o rozwodach. Jeden z tych panów piszący pod nazwiskiem pseudonyma Gawęckiego, wyrzucił przeciwnikowi swemu w Gazecie Poznańskiéj, że ma styczność z traktyernią i organistami; o sobie zaś mówi, iż po swych przodkach odziedziczył udział do piśmiennictwa o prawie. Ten pan Gawęcki musiał z dwieście lat w grobie przeleżeć i dopiero na ziemię wyleźć, że mu przyszło do głowy pochełpić się szlachectwem w polemice naukowéj dla zwalczenia przeciwnika. Wątpimy, żeby w Krakowie zyskał oklask, bo w Poznaniu śmiech obudził. Wreszcie upewniamy, że i pan Gawęcki i przeciwnik jego są nam całkiem niewiadomi, a niniejszą wzmiankę kładziemy tu tylko jako osobliwość z literatury polskiéj w XIX. wieku po Chrystusie.

W Wejmarze z wielkiém zadowoleniem przyjęto nową operę Loba, ułożoną podług znanéj sztuki: Karól XII. na Rydze.

Ciało Karóla Webera wkrótce zostanie przeprowadzone z Londynu do Drezna.

Nowy wynalazek. — Pan Jaśiński znany krawiec w Poznaniu wygotował na wystawę płodów przemysłu krajowego w Berlinie, surdut własnego wynalazku, który ma to podwójne przeznaczenie, iż podług upodobania może się we frak zamienić. Cały mechanizm ukrywa się pod podszewką; i niczego więcéj niepotrzeba, jak przewlec sznurek igliczką przez kilkanaście pętelek, aby szerokie poły zamieniły się w ścięte i wąskie. Oddać tu trzeba sprawiedliwość wynalazcy, iż wielką zrobił przysługę raz dla podróżnych, którym oszczędza wielkich tłumoków, bo mogą w pakunku niewielkim zmieścić strój zwyczajny i galowy; powtóre, dla lubiących oszczędność, którzy miasto dwóch sukien, jednę tylko potrzebują sprawić. Pan Jaśiński spodziewa się otrzymać przywiléj na swój użyteczny wynalazek w świecie mody.

Hiszpan jeden, nazwiskiem Don Cellino Avellana, młodzieniec 25 lat mający i bogaty, dwa razy cierpiał na niebezpieczną chorobę, i lekarze oświadczyli mu, że umrze, jeżeli choroba się ponowi, co z łatwością stać się może. Avellana zdawał się nie uważać na tę zapowiedź lekarską i zaprosił na uroczystość swego wyzdrowienia dwóch stryjów swoich i wszystkich przyjaciół. Wszyscy byli wesołymi; chory jadł mało, pił zato więcéj. W końcu biesiady wstaje i zabierając się do wypicia zdrowia swych stryjów, rzekł: „kochani stryjowie, rozumieliście dotąd, że ja po was wezmę puściznę; ale byliście w błędzie, wy jesteście moimi spadkobiercami, — bo ja się otrułem.“ Z początku rozumiano, że żartuje, ale wyraz twarzy począł się zmieniać; zdawał się bardzo cierpieć i mówił daléj: „lekarze zwątpili o mnie i sam to czuję, że chorobie méj zwolna uledz muszę; dla tego postanowiłem nagle moim cierpieniom koniec położyć, i otoczony moimi przyjaciołmi, wesoło zejść z tego świata. Bądźcie zdrowi!“ Mimo wszystkich zabiegów, nie można było go ocalić, wkrótce ducha wyzionął.

MODY.

Paryż, dnia 20. Lipca 1844.

Żyjemy wśród lata, a zatém z obowiązku nosimy suknie lekkie, jako to: z bareżu jedwabnego lub wełnianego, szale z koronek i tarlatanu. Wszystkie suknie wełniane bareżowe garnirują wysokiemi wolantami, które to wolanty szeroko obrębują, w zęby wycinają lub aksamitkami kilka razy obszywają. Bywają noszone canezous i małe chusteczki w rozmaitych formach z muślinu haftowanego, do ubiorów latowych.

Na ranny ubiór, małe skromne czepeczki, niebywają już podszyte jedwabiem: ich głównem przyozdobieniem są kokardy z wstążek szkockich lub gazowych i obszycie z koronek. Widzimy także piękne czepeczki, które kilka razy z przodu obszywane koroneczkami, przedziela aksamitka, różowego, niebieskiego, albo też lilijowego koloru; te czepeczki są podobne dosyć do czepków dziecinnych. Ponieważ mody w jednéj porze roku niebardzo się zmieniają, więc tylko o małych szczegółach nadmieniamy.

Suknie ranne, jedwabne szlafroczki, suknie z bareżu i suknie z kolorowych muślinów powinny mieć przepaskę ze szpinką na przodku zapiętą. Suknie jedwabne i suknie lekkie do stroju muszą mieć stanik ze sznypką, do sukien lekkich białych lub kolorowych, można używać przepaski z długiemi końcami na przodzie zawiązanéj.

Białych mantyl z tarlatanu, garnirowanych koronkami, używają tylko do rannego ubioru lub jadąc w pojeździe; nie źle jednak się wydają na promenadach, w teatrze i na wieczornych towarzystwach.

Rękawy u sukien lekkich, w których się wychodzi w godzinach przedpołudniowych, są zwykle tak nazwane greckie, ale niebardzo szerokie. Pod temi rękawami bywają spodnie rękawki z haftowanego lub w pukle układanego muślinu. Dama idąca pieszo, nie powinna nic mieć w ubiorze uderzającego.

W domu i na wieczorny strój można wszystkiego używać, co tylko jest wykwintne i robi wielki effekt. Używają więc otwartych sukien rannych, które noszą na haftowanych lub koronkami garnirowanych spodnich sukniach; rękawy u tychże są bardzo szerokie, u dołu otwarte, w kształcie weneckich, a spodnie rękawki suto haftowane. W tych sukniach są kieszenie, tak jak u mężkich surdutów, które bywają przyozdobiane, jężeli suknia jest z bareżu lub kaszemiru, aksamitką, sznurami lub fałdowaną wstążką.

Od rana noszą zwykle małe ozdoby: bransoletkę złotą z emalią albo bransoletkę srebrną, złoty zegarek, stalowy łańcuszek u pasa, cylindrowy zegarek z emalią w środku, lub coś podobnie skromnego. Nawet małe dawniejszą formą szpilki do przypięcia chusteczki lub canezous dobrze przypadają. W ogólności można do rannego ubrania używać ozdób, byle nie markasitu, który jak brylant błyszczy i tylko na wieczór przydatny.

Kapelusze z kolorowéj krepy, tiulem powleczone, bardzo są poszukiwane.

Damy powinny szczególniéj stósować swój ubiór do teraźniejszéj pory: organtyny więc najstósowniejsze. Tylko w Anglii nie zwracają na to uwagi i tam damy noszą zarówno atłas i aksamit w miesiącu Sierpniu jak i Grudniu. Lecz nic bardziéj zepsutego smaku nie oznacza, jak ubieranie się tak niewłaściwe.

Jeszcze spomnimy kilka ślicznych ubiorów: szlafroczek z fulardu w drobne białe paseczki na tle popielatém, stanik gładki z wyłogami, rękawy greckie, przepaska z długiemi końcami. Kapelusz ryżowy z wstążką cytrynowego koloru i girlandą z kłosów; bóciki tego koloru co suknia, żółtawy szal i biały parasolik.

Suknia w białe i niebieskie paski, z wysokim stanikiem, stósownemi sznurami obszyta, powłoka obszyta ukośnym paskiem w zęby dzierzganym, szal czarny koronkowy, biały parasol, na którym haftowana girlanda z niezapominajek. Kapelusz z białéj krepy, bransoletka srebrna, z kilka rzędami turkusów i pereł prawdziwych.

Objaśnienie ryciny.

1. Czepek z koronek z wstążką. Suknia muślinowa. Fartuch jedwabny.
2. Czepek z tiulu i koronek ubrany wstążkami. Suknia bareżowa z wolantami. Chusteczka oszyta koronkami.
3. Surdut sukienny. Krawat jedwabny. Kamizelka pikowa. Pantalony z nakrapianego sukna.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*